

NA „POCZĄTKU” BYŁO BŁOGOSŁAWIENSTWO UBÓSTWA

Kiedy analizuje się, bada i wyjaśnia dokładnie „Błogosławieństwo ubogich”, zawsze dochodzi się do poczucia swoistego zgorznięcia i do odczytania tego błogosławieństwa jako społecznego manifestu wyzwolenia.

Chrystus powiązał wyraźnie los ubogich z losem („nadejściem”) swego Królestwa; wszelkie wskazania konkretne, jakie chce się wydobyć z Jego słów, wszelka „działalność” pomyślana na rzecz ubogich — powinny zatem określić najpierw to, co pojmują jako „Królestwo Boże”. Albowiem ono zostało im przyobiecane. Nie można twierdzić, iż Kościół jest na ziemi tylko „załączkiem oraz zaczątkiem tego Królestwa” (KK 5), nie uznając zarazem faktu, że to właśnie ubogim ofiarowane zostaje „błogosławieństwo” jako dobre słowo, jako „szczęście” (tak J. Dupont) osiągalne natychmiast, z tym, że przyobiecana im rzeczywistością jest właśnie Królestwo; a ono wzrasta powoli i stopniowo, jak ziarenko w tej ziemi Bożej, jaką jest Kościół.

Zaskakujące może być zatem stwierdzenie, że niekiedy ci sami teologowie, którzy starają się odróżniać wyraźnie Kościół od Królestwa Bożego, dochodząc nawet niekiedy do całkowitego ich oddzielania od siebie (a to celem oczyszczenia Kościoła z jakichkolwiek zapędów triumfalistycznych), zarzucają mu także to, że nie udało mu się zrealizować do dzisiaj „błogosławieństwa” ubogich. Jest to mała, można by chyba tak powiedzieć, sprzeczność, ale bardzo wymowna i głębsza od szeregu innych znanych manipulacji.

Zresztą błogosławieństwa są w swej strukturze zaiste paradoksalne: od tych, którzy *teraz* cierpią, domagają się radości właśnie *teraz*, albowiem *teraz* są oni dziedzicami Królestwa, które dopiero *nadejdzie*. Albo raczej Królestwa już zapoczątkowanego i w istocie swej, a nawet w pełni, już obecnego w samej osobie swego Króla — Chrystusa i w Jego towarzystwie. Albowiem wraz z Chrystusem Królestwo staje się obecne i „przychodzi”. Bez Chrystusa natomiast ubogi pozostaje nieuleczalnie nieszczęśliwym i zdradzonym. Wszystkie najnowsze, trudne problemy teologiczne, dotyczące „wyzwolenia” ubogich, znajdują tu właśnie swój oścień: ktokolwiek chciałby wyzwolić ciemionych, a zabiera im w jakikolwiek bądź sposób Chrystusa, ten ich zdradza. I odwrotnie, wszelka działalność wprowadzająca ich w towarzystwo Chrystusa (choć-

by „biedna” i ograniczona) rozwija się już we właściwym kierunku wiodącym do „szczęśliwości”

Aktualizacja Łukaszowa („błogosławieni jesteście wy, ubodzy”) zmierza właśnie do utożsamienia adresatów tych słów Jezusa z chrześcijanami. Aktualizacja Mateuszowa z kolei („błogosławieni ubodzy duchem”) mówi to samo, wyjaśniając, iż ubóstwo człowieka, o ile ma być faktycznie przewyciężone, powinno najpierw zejść aż do serca i przemienić się w dyspozycyjność, w zdolność zaufania — jak dziecko — w słowo paradoksalne i niewiarygodne wysłańca Bożego: słowo zapewniające, iż dążenie do szczęścia nie polega już na marzeniach o przewrotach ogólnoludzkich, ale na realizacji przyjścia Królestwa Bożego. A Królestwo to przychodzi właśnie „ubogo”, tak jak „ubogim” jest Chrystus i jak „ubogimi” będą Jego uczniowie.

Czy stwierdzenie to nie oznacza jednak popadnięcia w ryzyko, nad którym ubolewają współcześni teologowie wyzwolenia, a które polega na „wyzwoleniu w historii mechanizmu usprawiedliwienia ideologicznego, idealizującego ubóstwo” (L. Boff)? To możliwe. Nie ma bowiem w ogóle bardziej znaczącego orędzia ewangelicznego, które by nie wyzwalało mechanizmów ideologicznych; wszystkie przecież orędzia są „bezbronne”, tzn. pozostawione wolności serca ludzkiego: jeżeli pragnie ono prawdziwie nawrócenia, orędzie to zmienia życie; o ile natomiast odmawia nawrócenia, wówczas orędziu nadaje interpretację ideologiczną.

Tak samo jednak, a nawet znacznie gorzej, dzieje się z każdym innym „rozważaniem” filozoficznym czy socjologicznym — choć by było naukowe, przekonujące i wyważone.

Wobec jakichkolwiek zagrożeń związanych z wynaturzaniem czy manipulacją ideologiczną orędziem ewangelicznym, Kościół może odpowiedzieć tylko oczyszczaniem i coraz to większym pogłębianiem własnego zrozumienia ożywczego Słowa. Przede wszystkim zaś nie unika — jak widać to z życia i doświadczeń jego synów — złożoności samego problemu. Czyż ubóstwo nie jest, być może, złem spowodowanym przez grzech i ubliżającym Bogu oraz człowiekowi? A w takim razie jak może się przemieniać niekiedy w dobro tak bardzo poszukiwane? I dlatego właśnie ci, co wybierają dobrowolnie ubóstwo, zostają z kolei wezwani do walki z ubóstwem swych braci — jak gdyby byli zobowiązani do zapewnienia im przynajmniej jakiegoś minimum bogactwa?

A ubóstwo wybrane jako „wartość”, czyżby mogło istnieć bez wielkiego bogactwa wewnętrznego: rozumu, wolności, doświadczeń duchowych, harmonii i jedności swego jestestwa?

I jeszcze z innego punktu widzenia: czyż bogactwo nie jest dobrem przynależnym, z samej definicji, godności królewskiej, jaką

każdy człowiek winien wykonywać nad światem? jakże więc się to dzieje, iż staje się ono złem tak wielkim, iż ludzie je posiadający znajdują się u wrót Królestwa w sytuacji gorszej od wielbłąda mającego przejść przez ucho igielne? A to tak żalosne położenie bogatych, czyż nie jest samo przez się bezkresnym ubóstwem? I, by zakończyć: jeżeli ubogim zagwarantowano nadchodzące Królestwo, to jakie w nim miejsce zajmuje bogactwo, przynajmniej to minimalne, pozwalające otoczyć ciało takim dobrobytem, by dusza mogła się rozszerzyć i wzrastać, zgodnie ze wszystkimi swymi możliwościami?

Postarajmy się oczyścić pokrótce pojęcia, na ile to możliwe, wychodząc od stwierdzenia celowo prowokacyjnego: *na początku było Ubóstwo*. Mówimy o „początku”, aby umieścić je w samej tajemnicy stworzenia, a więc w tajemnicy naszej stworzonności.

Na początku było więc ubóstwo stworzenia: i ono było całym naszym bogactwem.

Stwierdzenie to oznacza idealne i jakby intuicyjne przekroczenie tego muru pierwotnego, który zwiemy grzechem.

Literatura biblijna oraz cała wielka literatura powszechna pozwalają wydobyć (ze siebie) bez większej trudności pełną patosu elegię nad nędznym położeniem ludzkim, które od samych początków płaci cenę własnej ułomności. Niezwykle wymowne są w tym względzie słowa Psalmu 38:

„O Panie, mój *kres* pozwól mi poznać
i jaka jest *miara* dni moich,
bym wiedział, jak jestem *znikomy*.
Oto wymierzyłeś moje dni tylko na kilka *piędzi*,
i *życie* moje jak nicość przed Tobą.
Doprawdy, życie wszystkich ludzi jest *marnością*.
Człowiek jak *cień* przemija,
na próżno tyle się niepokoi,
gromadzi, lecz nie wie, kto to zbierze...” (w. 5-7).

W wierszach tych, nacechowanych tak wspaniałym, ale i bolesnym paralelizmem, zakłada się bez wątpienia grzech jako pierwotną rebelię, powracającą wciąż na nowo w historii; w innych jednak tekstach to samo doświadczenie człowieka zespoli się z podstawowym pytaniem o siebie („kim jest człowiek...?”), a niekiedy przewycięży nawet sens zawinionej udręki, aby przerodzić się w zdumienie nad własną wielkością. Oto jak krzyżują się te tematy w podobnych ujęciach:

„O Panie, *czym jest człowiek*, że masz o nim pieczę,
czym syn człowieczy, że Ty o nim myślisz?
Człowiek jest podobny do *tchnienia* wiatru,
dni jego jak *cień* mijają” (Ps 143, 3-4).

„A kim jest człowiek, abyś go cenił
i zwracał ku niemu swe serce?
Czemu go badać co ranka?
Na co doświadczać co chwilę?
Czy wzrok swój kiedyś odwrócisz?
Pozwól mi choćby ślinę przełknąć” (Hi 7, 17-19).

„Czym jest człowiek, że o nim pamiętasz,
i czym — syn człowieczy, że się nim zajmujesz?
Uczyliś go niewiele mniejszym od istot niebieskich,
chwałą i czią go uwieńczyłeś.
Obdarzyliś go władzą nad dziełami rąk Twoich;
złożyliś *wszystko* pod jego stopy” (Ps 8, 5-7).

Chociaż punktem wyjścia jest zawsze to samo pytanie wywodzące się z bolesnego doświadczenia własnej ułomności, autor Psalmu 143 (podobnie jak w Ps 38) dochodzi do stwierdzenia efemeryczności bytu ludzkiego, gdy tymczasem Hiob podkreśla z naciśkiem swą własną śmiertelną nicość wobec tego niepojętego doświadczenia, na jakie wystawia go Bóg bez pardonu; autor Psalmu 8 natomiast wyśpiewuje swe zdumienie wobec nieskończonego bogactwa zamieszkującego w człowieku. Echem tych stwierdzeń jest Ps 138, opisujący Boga, który dokonuje dziwów, kształtując „bogato” człowieka w łonie matki: „kiedy w ukryciu powstawałem, utkany w głębi ziemi” (w. 15).

Można by mnożyć refleksje i odniesienia; wszystkie one jednak doprowadzą do tego, co zamierzaliśmy ukazać, a mianowicie że człowiek, chociaż doświadcza z pewnością ubóstwa związanego ze swym aktualnym nędznym położeniem wynikającym z grzechu i swej egzystencjalnej ułomności, to potrafi jednak dostrzec, iż „na początku” stwórcze ubóstwo człowieka było jego niesłyszczanym bogactwem w tym znaczeniu, iż był on „niczym” otrzymującym wszystko w darze, poczynając od własnego istnienia:

„Nim zaistniałem, Ty już byłeś, mnie zaś nie było, abym mógł odebrać Twój dar istnienia. A jednak oto istnieję dzięki Twej dobroci, która wyprzedziła to wszystko, czym i z czego mnie uczyniłeś” (św. Augustyn) ¹.

Mistycy często zastanawiali się dogłębnie nad własną „nicością stworzenia” (łącznie, a nawet jeszcze przed refleksją nad tą nicością, jaka stała się ich udziałem na skutek grzechu): nicość ta, będąca czystą „*capacitas Dei*” powołania bytu *ex nihilo*, stała się punktem wyjścia do obdarzenia ich przez Boga darami: stworzeniem, powołaniem do uczestnictwa w nieskończonym bogactwie

¹ *Wyznania*, 13, 1 (tłum. ks. J. Czuj, Warszawa 1954, s. 306).

bytu Bożego. Ten to właśnie „początek” (w którym nasze bezgraniczne ubóstwo pokrywało się z naszym nieograniczonym bogactwem) pozostawia w każdym człowieku jakąś niepokonalną wprost nostalgię, którą ten odkrywa, ilekroć stwierdza, iż bogactwo Boga (zbawcze) chce go przeniknąć na nowo, aby uleczyć jego codzienne doświadczenia ubóstwa, pustki, nicości: — niezależnie od tego, czy będą to doświadczenia wynikające z grzechu czy też z nieodzownego огоłocenia ascetycznego.

Św. Teresa z Lisieux wyraziła bardzo precyzyjnie tę świadomość radosnego znalezienia się we własnej nicości stwórczej (nawet z pominięciem faktu własnej grzeszności), aby „odczuwać w swym wnętrzu prawdziwą radość na widok tego, co jest przed oczyma Boga: ubogie małeństwo — nicość (*un pauvre petit rien, rien plus*)”².

„Początek” został jednak skażony grzechem pierwotnym: odrywając się od Słowa wzywającego go do życia i mu je gwarantującego (por. Rdz 2, 16; 3, 6-7. 16-17. 22; J 1, 3 nn), człowiek nie doświadczał już więcej swego egzystencjalnego ubóstwa jako zdolności do bogactwa, a więc jako tej nieograniczonej niczym dyspozycyjności na przyjęcie daru bezkresnego, ale jako żądz posiadania, jako „wyciągnięcia ręki”, aby zerwać owoc życia i poznania. I właśnie na skutek tego radykalnego zerwania poczucie własnej nicości stwórczej (choć nie mogło ulec zniszczeniu w swym wymiarze pozytywnym) przekształciło się w nicość grzeszną, stającą w obliczu Boga i przeciw Niemu — ze spojrzeniem i w postawie pełnej zazdrości. Ta zaś zniekształcona matryca wytwarza na równi „ubogich i bogatych”³: ludzi produkujących sobie bogate idole mające zrekompensować im własne nieszczęsne ubóstwo (bo przecież to upragnione bogactwo może doskonale współistnieć, w tym samym podmiocie, z najbardziej tragicznymi i godnymi ubolewania formami ubóstwa intelektualnego, moralnego, uczuciowego, itp.) oraz ludzi stających się „materiałem” bogactwa innych: idole domagają się przecież ofiar. Również to ubóstwo „materialne” współistnieje z wszystkimi innymi, niezliczonymi postaciami nędzy. Co więcej, niekiedy ci nędzarze, będący ofiarami idoli, dopasowują się tak dalece do przekraczającej wszelkie normy „sytuacji niewolnika”, że stają się — w sposób paradoksalny — przyczyną niesprawiedliwego bogactwa innych: jego współnikami.

² Gli Scritti (Man. C.), Roma 1970, s. 251.

³ W tym duchu G. Bernanos pisze w „Pamiętniku wiejskiego proboszcza”: „Bogaci czy biedni lepiej przyglądajcie się w ubóstwie jak w zwierciadle, gdyż ono jest obrazem waszego podstawowego rozczarowania, ono zastępuje na tym padole Raj utracony, ono jest luką waszych serc, waszych rąk”. (tłum. W. Rogowicz, Warszawa 1950, s. 58).

Gra stron (patron, właściciel — niewolnik) może ulegać w dalszym ciągu różnym przeobrażeniom, które nie będą jednak miały większego znaczenia w przygodzie ludzkiej. Albowiem samo jądro pierwotne poniżającego ubóstwa wspólnotowego może być usunięte tylko z Wysoka. A to dlatego, że bogactwo Stwórcy narzuca się z powodzeniem w dalszym ciągu stworzeniu i je fascynuje, dopinając je do podejmowania ascetycznej drogi ogołocenia (co zdarza się także w wielu religijnych doświadczeniach niechrześcijańskich).

Ta „mystyczna” (chrześcijańska lub nie) linia nabiera zawsze głębokiej wartości, o ile tylko — nawet jeśli na pozór zdaje się nie przewyższać problemów konkretnych — wiedzie do źródła poprzez odkrycie czegoś w rodzaju „wspólnej antropologii”, jeszcze dokładnie nie określonej, a już radykalnie wyróżniającej i odnawiającej. Człowiek, który zdobywa się na poszukiwanie własnego ubóstwa stwórczego, albowiem odczuwa w jakiś sposób swe pierwotne bogactwo, ku któremu zmierza i na które wskazuje to właśnie ubóstwo jest zazwyczaj typem człowieka odradzającego się, a wszystkie „światła religijne”, idące w tym kierunku, zbiegają się w opisie błogosławieństw ewangelicznych. Z drugiej jednak strony refleksja chrześcijańska zmierza do możliwie najprecyzyjniejszego ujęcia drogi wiodącej do pierwotnego ubóstwa stworzenia szczęśliwego z racji otrzymywania wszystkiego od Boga — powołując się na opis zawierający w sobie pewne wydarzenie, które można by ująć następująco:

Na decyzję stworzenia, które postanowiło odciąć się od bogactwa Stwórcy, aby budować swe własne, autonomiczne bogactwo, i na związany z tym jego nieuchronny upadek w zawinioną nędzę, odpowiedzią była zbawcza decyzja Stwórcy. Objawił On przede wszystkim bogactwo swego wewnętrznego życia trynitarnego (otworzył jeszcze bardziej swoje „niezmierzone bogactwa”): z Jego łona „wyszło” Słowo stwórcze, wyrzekając się swych bogactw, aby dzielić z ludźmi całą ich nędzę (aż po krzyż rozumiany nie tylko jako szczyt cierpienia, ale także jako ciężar wszystkich win, jakie wziął On na siebie): „On, istniejąc w postaci Bożej, nie skorzystał ze sposobności, aby na równi być z Bogiem, lecz ogołocił samego siebie, przyjąwszy postać sługi, stawszy się podobnym do ludzi. A w zewnętrznym przejawie uznany za człowieka, uniżył samego siebie, stawszy się posłusznym aż do śmierci — i to śmierci krzyżowej” (Flp 2, 6-8) i „który będąc bogaty, dla was stał się ubogim, aby was ubóstwem swoim ubogacić” (2 Kor 8, 9).

Płomienne, chrześcijańskie jądro przewyciężenia ubóstwa ludzkiego polega na tym, że *umożliwiony został faktycznie wstęp do szczęścia Bożego (jedyne, jakie zasługuje na to miano) w samym sercu całej nędzy ludzkiej.*

„Błogosławione ubóstwo” nie jest już jakąś obcą ideologią, albowiem *faktycznie dokonało się* to, czego nie można się było spodziewać: błogosławiony (szczęśliwy) Syn Boży zespolił swoje niewypowiedziane i niezniszczalne szczęście z naszym nieszczęsnym ubóstwem — w substancjalnej jedności swej osoby⁴.

Ze ściśle chrześcijańskiego punktu widzenia — chociaż problemy mogą być złożone i wstrząsające, zwłaszcza te, jakie wynikają ze społecznego dramatu nędzy i ucisku, przeszywającego dotkliwie całe narody — nie wolno się oszukiwać.

Zapowiedziane błogosławieństwo jest dokładnie takie: ubogim, z całym ich ubóstwem i z wszelkimi postaciami ubóstwa doświadczanego powszechnie czy rzucającego się w oczy, proporcjonalnie do tego, jak to ubóstwo rani samą istotę, na jakimkolwiek stopniu ujawnienia, zostaje ofiarowane błogosławieństwo, ponieważ nastąpiło zejście Błogosławieństwa Bożego w samo przepastne dno ubóstwa ludzkiego. To zaś dokonało się w jednej konkretnej Osobie: w Chrystusie; i przez Niego dosięgło i dosięga wszystkich ubogich dzięki więzom, jakie ich łączą z Jego konkretną Osobą: poczynając od więzów ontologicznych („On, Syn Boży, przez wcielenie swoje zjednoczył się jakoś z każdym człowiekiem...” KDK 22⁵), poprzez więzy kościelno-sakramentalne (w Ludzie Bożym), więzy „misyjne” (kiedy to „posyła” On określone osoby w świat) po więzy „duchowe” (urzeczywistnione poprzez dobrowolny dar i wylanie Ducha).

Ubogim przyobiecano jednak tylko błogosławieństwo wejścia w kontakt z tym Ubogim-Szczęśliwym: Chrystusem — odwiecznym Synem Bożym, który stał się człowiekiem, by zbawić człowieka. Natomiast w świadomość Kościoła weszło z biegiem czasu głęboko, mimo pewnych prób oporu, to, że całe to błogosławieństwo winno być fundamentem pewnej „moralności” i „zadania”, a tym samym winno przekształcać się w projekt, zamiar, przemianę interwencję polityczną, społeczną itd. Olbrzymia jest zatem praca do wykonania, nie wyłączając dziedziny kulturowej.

Nie chcielibyśmy oczywiście przeoczyć czy pominąć żadnego fragmentu; uświadamiamy jednak sobie, że nie uda nam się dostrzec czy też opisać odpowiednio każdego z nich. Jest jednak coś, co powinni podzielać w pierwszym rzędzie wszyscy chrześcijanie i co powinno mieszkać w ich sercu i umyśle jako stałe, nietknięte

⁴ Nie omawiam obszerniej tego aspektu, tak istotnego dla naszego tematu, albowiem będzie on poruszony w artykule traktującym o błogosławieństwach w aspekcie wyzwolenia, pomyślanym jako integralna część niżejszych rozważań.

⁵ Por. Jan Paweł II, *Redemptor hominis*, nr 8, 13, 18.

światło („... On będzie Światłem”). I to postaramy się wyrazić w dwóch uzupełniających się wzajemnie stwierdzeniach:

— To wszystko, co w historii wczorajszej i dzisiejszej zostało dokonane i bywa dokonywane, aby człowiek *czuł się* prawdziwie „ubogim” (poza jakimkolwiek określeniem socjologicznym) i *wiedział* zarazem, że jest kochany i poszukiwany przez swego Stwórcę, oraz *potrafił* dzięki temu poznać oblicze Boga, który go umiłował, oraz rzeczywiste szczęście, jakie mu obiecuje, a także *pojął*, że szczęście to przyniósł On rzeczywiście ze sobą i że może ono natchmiast stać się jego udziałem niezależnie od jakiegokolwiek poniżającej sytuacji: to wszystko — chociaż może być niepełne lub częściowe i niekiedy także tylko pozornie pocieszające (mam na myśli św. Piotra Klawera) — dokonywało się faktycznie i w swej najgłębszej istocie na rzecz ubogich.

— I odwrotnie, to wszystko, co w historii zakryło czy zaciemniło ubóstwo stwórcze, a tym samym oblicze Boga i Chrystusa, a także istnienie Jego Osoby Bożej Wcielonej oraz Jego osobiste doświadczenie ubóstwa szczęśliwego, choć ukrzyżowanego, Jego Słowa i obietnicy, nawet wtedy, gdy te nadały bieg rozległym procesom społecznym, dotyczącym wyzwolenia: to wszystko działało zawsze na rzecz zastąpienia jednej formy ubóstwa inną. A może się to zdarzać także wtedy, gdy mówi się dalej o Chrystusie, ale tak, że Chrystus staje się „symbolem” ubogich bardziej, aniżeli ich faktycznym Zbawcą.

Trzeba to podkreślać z mocą zarówno wtedy, gdy chce się patrzeć w przyszłość, jak i wtedy, gdy się zamierza osądzać przeszłość. Z tego też punktu widzenia jednym z najbardziej odważnych posunięć w kierunku wyrobienia właściwej oceny chrześcijańskiej jest nr 21 ostatniej Instrukcji Kongregacji Nauki Wiary „O chrześcijańskiej wolności i wyzwoleniu”:

„Najgłębszej prawdy o wolności Kościół zawsze doświadczał przede wszystkim poprzez życie rzeszy wiernych, szczególnie młuczki i ubogich... Każdy z nich może powiedzieć: „Obecne życie moje jest życiem wiary w Syna Bożego, który umiłował mnie i samego siebie wydał za mnie” (Ga 2, 20b). Ich godność jest tak wielka, że nikt z możliwych nie jest w stanie jej ich pozbawić i tak wielka jest obecna w nich wyzwalająca radość. Wiedzą, że również do nich odnoszą się słowa Jezusa: „Już Was nie nazywam sługami, bo sługa nie wie co czyni pan jego, ale nazwałem Was przyjaciółmi, albowiem oznajmiłem Wam wszystko, co usłyszałem od Ojca mego” (J 15, 15). To uczestnictwo w poznaniu Boga wynosi ich ponad roszczenia do dominacji, przejawiane przez dysponentów wiedzy... Wiedzą, że są kochani przez Boga jak wszyscy inni,

a nawet bardziej niż wszyscy inni. Stąd żyją oni w wolności wpływającej z prawdy i miłości”

Przy błyskawicznym spojrzeniu krytycznym może się to wydawać umiejętnym odzyskiwaniem utraconej własnej wiarygodności historycznej. W rzeczy samej jednak chodzi tu o odrzucenie takiego traktowania dziejów: przeszłych, teraźniejszych i przyszłych — zgodnie z którym Chrystus byłby jedynie wiedzą, faktem czy ideałem bardziej lub mniej aktualizowanym przez nas, lub też nadającym się do aktualizowania. Chrystus jest obecnością, która podtrzymuje własne obietnice.

Dlatego też Kościół może z radością ofiarowywać Mu współpracę — cenną swoich świętych; może także błagać Go pokornie o przebaczenie własnych niedociągnięć, nie popadając przy tym w jakąś nadmierną i niepotrzebną wylewność samokrytyki, która mogłaby być istotna, gdyby chodziło o uzyskanie przebaczenia ze strony świata.

tłum. **Ks. Lucjan Balter SAC**